





Rwanda

Burundi

O. Jan Kanty
od Najśw. Sakramentu i św. Teresy
(Jerzy Władysław Stasiński)
Karmelita bosy

Bafenzi nkunda,...

(Kochani Przyjaciele,...)

KORESPONDENCJA
AFRYKAŃSKA
1971 – 2009



FLOS CARMELI
Poznań 2016



Redaktor
Bogna Wiczyńska

© Copyright by Flos Carmeli 2016

Imprimi potest
o. Jan Piotr Malicki OCD, prowincjał
Warszawa, dnia 10.09.2016 r., L. dz. 155/P/2016

Nihil obstat
o. Paweł Placyd Ogórek OCD, cenzor

Imprimatur
bp Grzegorz Balcerek, wikariusz generalny
Poznań, dnia 5.09.2016 r., N. 5054/2016

Wydawca
Flos Carmeli Sp. z o.o.
Wydawnictwo Warszawskiej Prowincji Karmelitów Bosych
ul. Działowa 25; 61-747 Poznań
tel.: 61 856 08 34
e-mail: wydawnictwo@floscarmeli.pl
www.floscarmeli.pl

ISBN 978-83-65307-36-1



Tytułem wstępu czy wprowadzenia zamieszczamy krótki wywiad z autorem listów, wywiad przeprowadzony w imieniu wydawcy przez redaktor Bognę Wiczyńską.

KARMEL I MISJE

B.W.: Jak doszło do tego, że postanowił Ojciec wydać swoje listy z Misji?

O.J.K.: Mówiąc prawdę, nie ja postanowiłem wydać moje listy z Misji, tylko chętnie się na taką propozycję zgodziłem.

To Misyjne Biuro Karmelitów Bosych w Krakowie we współpracy z Wydawnictwem „Flos Carmeli” w Poznaniu podjęło inicjatywę wydania listów pisanych przeze mnie z Afryki do moich Przyjaciół, począwszy od roku 1971.

Okazją jest przypadający w tym roku quasi-jubileusz czterdziestu pięciu lat istnienia ewangelizacyjnej misji polskich karmelitów w środku kontynentu afrykańskiego.

B.W.: Jak to się właściwie stało, że karmelici wyjechali na misje? Wydaje się, że Karmel nie jest zakonem typowo misyjnym.

O.J.K.: Wiele osób zadaje to pytanie, bo swoistą wizytówką Karmelu nie są ojcowie karmelici, a raczej siostry karmelitan-ki, które są zakonem ściśle kontemplacyjnym, klauzurowym, a więc zamkniętym. Dlatego nawet gdy zdarza się, że ludzie widzą karmelitę na ulicy czy w tramwaju, dziwią się: „karmelita bosy? tutaj? To wy możecie wychodzić z klasztoru?”. Podczas gdy prawda jest taka, że nasza męska część Karmelu jest nastawiona zarówno na modlitwę i kontemplację, jak i na działanie. Zresztą podział ten – zakon żeński zamknięty, a męski bardziej otwarty – istnieje we wszystkich prawie starych zakonach, tak jest od starożytności. Kobiety miały się modlić i modlić, a mężczyźni mieli modlić się, modlić i... działać, pomagać

wiernym, zwłaszcza w modlitwie i sprawach duchowych. Warto jednak zaznaczyć, że Karmel – czy męski, czy żeński – oparty jest na tych samych dwóch filarach życia duchowego: Matka Boża i modlitwa. Matka Boża – bo od początku nazywani byliśmy Zakonem Braci Najświętszej Maryi z Góry Karmel i to „rodzinne” nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny jest wyraźne do dziś i rzutujące na cały Kościół. Drugim „patronem” Karmelu jest prorok Eliasz ze Starego Testamentu, który – jak wiemy – zabiegał bardzo o czystość wiary w Izraelu, gdy ta wiara była bardzo niszczone za panowania króla Achaba na przełomie dziesiątego i dziewiątego wieku przed Chrystusem. Eliasz bardzo się modlił. I w Nowym Testamencie, Eliasza właśnie św. Jakub w swoim liście apostołskim daje uczniom Chrystusa Pana jako wzór człowieka modlitwy. Te dwa istotne elementy duchowości karmelitańskiej wyrażane bywają w dwóch łacińskich sentencjach, często przypominanych: *Sine oratione nihil est Carmelus* – Karmel jest niczym bez modlitwy; i druga: *Carmelus totus Marianus* – Karmel jest cały maryjny. Bez względu na to, gdzie karmelici czy karmelitanki się znajdują, to są to dwie rzeczy, o które mają się w sposób szczególny troszczyć i wypełniać. Dlatego też możemy spotkać karmelitów bosych czy karmelitanki bose na misjach.

B.W.: Karmelitanki bose? Klauzurowe?

O.J.K.: Tak! I to te „zamknięte”, o których ktoś mógłby powiedzieć „przecież one nic nie robią!”. Myśli się często, że na misje jedzie się po to, by działać, by pracować, tworzyć nowe parafie, budować kościoły, przebywać z ludźmi i ewangelizować. A tymczasem jest takie powiedzenie, które oddaje rzeczywistość tej sytuacji – misjonarz, który dużo by mówił, a się nie modlił, to zły misjonarz, a z kolei misjonarz, który mówi niewiele, ale dużo się modli – to porządny misjonarz. I w przypadku siostr karmelitanek bywa tak, że ludzie nawracają się dzięki nim, spotykając po prostu osoby, które wytrwale i gorąco się modlą.

B.W.: Znamiennym jest fakt, że św. Teresę od Dzieciątka Jezus ogłoszono patronką misji...



O.J.K.: Tak. Ona teraz prawie bezustannie „podróżuje”! Mógłby ktoś jej nawet zarzucić, że teraz, pośmiertnie, wiele czasu spędza poza klauzurą, gdyż jej relikwie wciąż wędrują, i spytać: „Siostrzo Tereso, dokąd znowu siostra się wybiera?!”. Gdy w 2011 roku jej relikwie były w Ziemi Świętej, działy się tam prawdziwe cuda... Niesamowite! Także wśród muzułmanów, którzy – choć wrogo nastawieni do chrześcijaństwa – byli wówczas bardzo życzliwi. Bywali ludzie, którzy w tym kontakcie ze Świętą nawracali się, czy rozeznawali swoje powołanie!

B.W. No dobrze... a polscy karmelici? Jak w polskim Karmelu zrodził się pomysł wyjazdu na misje?

O.J.K.: Karmelici Bosi w Polsce od samego początku byli związani z misjonarską działalnością Zakonu. W pierwszych latach siedemnastego wieku właśnie dzięki zagranicznym misjom poza Europą znaleźli się w naszym kraju udający się z Rzymu do Persji karmelitańscy misjonarze. Z powodu trwającej wojny z Turkami, byli zmuszeni wybrać drogę okrężną i czekać w Polsce przez kilka miesięcy. Spodobali się Polakom i postarano się o fundacje „bosaków” najpierw w Krakowie, a później także gdzie indziej.

Do czasu utraty niepodległości poprzez rozbiory osiemnastego wieku Karmel reformowany rozwijał się pomyślnie, stanowiąc trzy kwitnące prowincje na terenie Rzeczypospolitej, ale także – niejako odwdzięczając się za swoje początki – podejmował również działalność misyjną w Azji na Środkowym i Dalekim Wschodzie.

Po rozbiorach kraju we wszystkich trzech zaborach zniszczone zostało życie zakonne, klasztory – także karmelitańskie – uległy kasacji; z karmelitańskich przetrwał tylko jedyny klasztor w Czernej koło Krakowa.

Po odzyskaniu niepodległości Polska Prowincja Karmelitów Bosych została wskrzeszona w roku 1920.

W 1970 miało 50 lat od tego momentu i postanowiono uczcić jubileusz jakimś „monumentem”. Po dyskusjach postanowiono, że tym pomnikiem ma być podjęcie przez polską prowincję sa-

modzielnej akcji misjonarskiej w Azji lub w Afryce. W okresie porozbiorowym było wprawdzie paru polskich karmelitów pracujących na misjach, ale działali oni pod patronatem prowincji hiszpańskich czy belgijskich; teraz zaś chodziło o to, by i Polska wzięła odpowiedzialność za misję na jakimś terenie.

B.W.: **Dlaczego Ojciec zdecydował się włączyć w działalność misyjną?**

O.J.K.: Moje włączenie się w bezpośrednią działalność Kościoła, Karmelu i polskiej prowincji przedstawiłem w skrócie w ostatnim moim liście z Afryki (list 70, część II) – nie będę tu cytował treści całego listu, powiem jedynie w skrócie, że był to taki „awaryjny” wyjazd, na który zgłosiłem się, sądząc jednak, że z racji moich obowiązków w Poznaniu, nie zostanę zaakceptowany. Gdy jednak zostałem, starałem się cieszyć, nawet jeśli była to choć szczerza, to nieco wymuszona radość.

B.W.: **Zatem kto ostatecznie zdecydował się opuścić Kraj i zostać jednym z pierwszych polskich karmelitów przebywających na misjach?**

O.J.K.: Ostatecznie zgłosiło się dwunastu, a po wycofaniu się jednego zostało nas jedenastu. W kolejności od najstarszego byli to: o. Leonard Kowalówka, o. Teofil Kapusta, ja, czyli o. Jan Kanty Stasiński, o. Kasjan Dezor, o. Klaudiusz Spyrka, o. Edmund Wrzesiński, o. Sylwan Zieliński, o. Kamil Ratajczak, o. Eliaż Trybała oraz br. Marcei Szłószarczyk i br. Sylwester Szypowski.

B.W.: **Jak wyglądały przygotowania do wyjazdu?**

O.J.K.: Przygotowania rozpoczęły się kilka miesięcy przed wyjazdem i odbywały się w Poznaniu, obejmowały one m.in. naukę języka francuskiego i ogólne przygotowanie do podróży. 22 czerwca 1971 w naszym kościele miało miejsce uroczyste pożegnanie, a nazajutrz wyruszyliśmy do Paryża – tam kontynuowaliśmy naukę języka francuskiego na uniwersytecie katolickim, mieszczącym się w dawnym klasztorze karmelitańskim; pod okiem wspaniałej pani profesor uczyniliśmy znaczne postępy. Z Paryża wysłałem też swój pierwszy list (a właściwie tylko jego część) do moich bliskich oznaczony numerem „0” (zero). Z Paryża 23



sierpnia pojechaliśmy do Rzymu, stamtąd w nocy z 31 sierpnia na 1 września udaliśmy się do Afryki. W Bużumburze, stolicy Burundi, byliśmy 1 września w samo południe.

B.W.: Jakie były Ojca pierwsze wrażenia? Czego Ojciec się obawiał i czego Ojciec oczekiwał podczas pierwszych tygodni pobytu w Afryce?

O.J.K.: Początki były ciekawe – jak pisałem we wspomnianym już liście 70 – na samym początku liczyłem po cichu – choć oczywiście walczyłem z takimi pokusami – że w wyniku jakichś politycznych „zadym” cofną nas może z powrotem do kraju. Jednakże, mimo różnych trudności, gdy po ośmiu latach wyrzucono mnie i wielu innych misjonarzy z Burundi, czułem się tak, jakby zawalił mi się świat.

ŻYCIE NA MISJACH

B.W.: Całe szczęście jednak udało się Ojcu w jakiś sposób wrócić na misje...

O.J.K.: Przez rok po wyrzuceniu z Burundi przebywałem w Rzymie. Gdy okazało się, że niemożliwy jest mój powrót do Burundi, zostałem skierowany przez przełożonych do Zairu (Konga), w którym spędziłem cztery lata, współpracując z naszymi Braćmi z Prowincji Rzymskiej. Następnie dołączyłem do reszty polskich karmelitów wyrzuconych z Burundi, którzy w sąsiedniej Ruandzie objęli parafię Rugango. Tam spędziłem dwa lata – wróciłem do Polski z powodu poboлеваń w piersiach i częstych zadyszek, w których lekarze doszukiwali się początków choroby wieńcowej. Na misje wróciłem w 1992 roku, gdy czułem się dobrze i zaistniała możliwość powrotu do Burundi. Przebywałem w Burundi do roku 2007: siedem lat spędziłem w terenie, na misji w „buszu”, a osiem w stolicy, w Bużumburze.

B.W.: Jak – jako karmelita – odnalazł się Ojciec na misjach? Jak wyglądał typowy dzień karmelity misjonarza?

O.J.K.: Porządek dnia często bywał prawie taki sam jak w Polsce. Bez trudności można znaleźć przewidziany w klasztorach czas na modlitwę wspólną (około cztery godziny) i indywidualną. Z tym że od tego porządku dnia bywały czasami odchyłki. Zwłaszcza z okazji wyjazdu na stacje misyjne, a to – w takim typowym misyjnym domu – zdarzało się każdego tygodnia. W czasie takich wyjazdów na stacje misyjne, na których misjonarz przebywa parę dni, zdany jest na samego siebie w kwestii uregulowania życia, także duchowego.

B.W.: Czy napotykał Ojciec na jakies poważne przeszkody, które uniemożliwiały lub utrudniały Ojcu pracę?

O.J.K.: Można powiedzieć, że z wyjątkiem braku pokoju wszystko, dosłownie wszystko w Burundi – a także w Ruan-dzie – w sposób nadzwyczajny sprzyja ewangelizacji! Ludzie są z natury pogodni i życzliwi, warunki atmosferyczne nadzwyczaj korzystne, ziemia względnie urodzajna, gęstość zaludnienia bardzo duża i ułatwiająca komunikację, przedchrześcijańskie przekonania religijne doskonale zgadzające się ze zdrową teologią naturalną, obyczajowość w dziedzinie seksualnej (w przeciwieństwie do całej prawie Afryki) nadzwyczaj czysta! Do tego pewna duża otwartość na sprawy religijne, sprawy boże. Wszystko to wpłynęło na niespotykaną gdzie indziej szybkość ewangelizacji, ułatwiało więc misjonarzom ich zadanie!

B.W.: A jednak śmiem twierdzić, że łatwo wcale nie było. Wszak przebywał Ojciec w Burundi w czasie krwawych często walk między plemionami Tutsi i Hutu podczas trwającej tam wojny. Niejednokrotnie wspomina Ojciec w swoich listach – często z bezradnością i smutkiem – o wielkim okrucieństwie i bezmyślności, z jaką zabijani byli często niewinni ludzie.

O.J.K.: Tak, wojna to bardzo poważny problem w tej części Afryki. Trzeba jednak podkreślić, że nie jest ona wcale we krwi tych ludzi. Tak jak zresztą mniej więcej na całym świecie, ludzie – czy to pochodzący z plemienia Tutsi, czy z plemienia Hutu – chcą pokoju i prości ludzie chcą go szczerze. Natomiast politycy różnego kalibru, zwłaszcza tego złego, traktują wojnę



jako narzędzie służące do zyskania lub też utrzymania zdobytej siłą władzy. To jest sytuacja typowa w tych krajach, w których przebywałem.

Kiedyś w 1994 roku, gdy biskupi ruandyjscy nie mogli udać się na synod biskupów afrykańskich do Rzymu, Ojciec Święty Jan Paweł II powiedział, że zdaje sobie sprawę z tego, że konflikt, który jest w Ruandzie, nie jest w swojej istocie konfliktem etnicznym (a przecież zwykle tak sprawę się przedstawia), tylko że jest to walka polityczna o władzę z wykorzystywaniem różnic etnicznych. I tak jest naprawdę! Można by dodać: walka polityczna nieprzebierająca w środkach. Ludźmi można manipulować w sposób okropny. I oczywiście, jeżeli ktoś jest manipulowany, to działa w sposób nieodpowiedzialny.

LISTY

B.W.: Myślę, że nim zaprosimy Czytelników do lektury listów, można by udzielić paru informacji wprowadzających na ich temat. Jak przebiegało pisanie i rozsyłanie listów przez Ojca?

O.J.K.: Początkowo kopiowaniem i wysyłką listów zajmowała się siostra Edmunda, karmelitanka Dzieciątka Jezus, która jeszcze przed wyjazdem zadeklarowała pomoc. Następnie korzystałem z uprzejmości pani Hanny Dutkiewicz, która przejęła to zadanie. To bardzo ułatwiło mi bycie w stałym kontakcie z bliskimi – bo nie byłbym chyba w stanie pisać listów indywidualnych. Zresztą i tak przyznać muszę, że często doskwierały mi wyrzuty sumienia z racji tego, że pisałem nie tak często jak chciałem lub jak obiecywałem. Mój świętej pamięci tata stwierdził nawet pewnego razu, że moich listów nie musi czytać, wiedząc dobrze, że w pierwszej części będę przepraszał, że nie pisałem przez długi czas, a w drugiej obiecywał poprawę. W pierwszym okresie pobytu w Burundi, w latach 1971-1979, wysłałem do bliskich 21 listów. Najmniej napisałem z Konga – zaledwie dwa listy. Poprawiłem się nieco w drugim okresie misji w Burundi, w latach 1992-2007, w przeciągu piętnastu lat

powstało siedemdziesiąt listów, a więc prawie pięć rocznie i co ważne, nie było ani jednego roku bez listu, a nawet jedynie dwa lata z trzema tylko listami!

B.W.: Czy od początku myślał Ojciec o tym, by publikować swoje listy z misji?

O.J.K.: Początkowo zupełnie o tym nie myślałem – co zapewne jest widoczne w formie, jak i treści listów. Część moich listów znajduje się w opracowanej przez ojca Czesława Gila OCD książce *Listy polskich misjonarzy z Burundi*. Dwa listy – te pisane z Zairu – ukazały się w książce ojca Teofila Kapusty OCD *Aby Chrystus był znany i kochany...* W późniejszych okresach niektóre listy i raporty były zamieszczane na łamach „Życia Karmelu” czy „Karmelu Info”, Biuletynach Informacyjnych Prowincji Krakowskiej i Warszawskiej Karmelitów Bosych.

B.W.: Co działo się z Ojcem, gdy w 2007 roku zakończył Ojciec swoją posługę misjonarza w Afryce?

O.J.K.: Choć konieczność opuszczenia Afryki była dla mnie bardzo bolesna, to jednak nie pozbawiła mnie ona absolutnie tego, co Francuzi nazywają „*Le mal d’Afrique*”, czyli chorobą Afryki, którą jest rodzaj szczególnej nostalgii, sympatii i głębokiej miłości, jaką w różnym stopniu i w różnych kategoriach doświadczają osoby, które dobry czas spędziły na Czarnym Kontynencie!

Po pożegnaniu Afryki zaproponowano mi pomoc we włoskiej parafii przy Bazylice św. Pankracego w Rzymie, obsługiwanej przez polskich karmelitów z warszawskiej (mojej) prowincji zakonu. Spędziłem tam dwa lata jako oficjalny wikariusz tej parafii, ciesząc się pobytem w Centrum, po dłuższym przebywaniu na „geograficznych peryferiach” Kościoła!

Z kolei na własną prośbę w 2009 udałem się na jeden rok do Ziemi Świętej do kolebki Zakonu na Górze Karmel. Z tego jednego roku zrobiło się potem bez mała siedem – na sugestię i życzenie Ojca Generała zakonu. I tutaj nie ukrywam radości, którą był dla mnie niekrótki pobyt w Ziemi Zbawiciela.



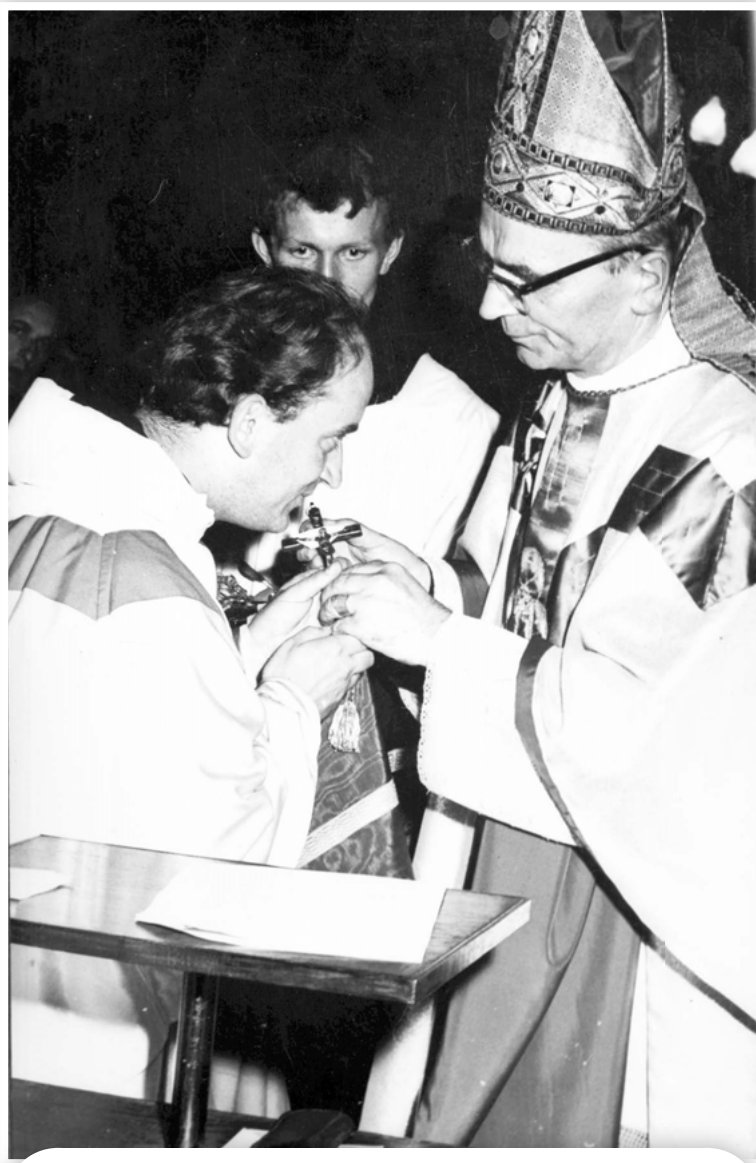
Nie tylko ze względu na „chorobę Afryki”, ale z potrzeby serca, na adresy moich dawnych Przyjaciół z czasów afrykańskich przesłałem jeszcze parę dłuższych i kilka króciutkich listów z Rzymu i z Ziemi Świętej, zwłaszcza na Wielkanoc każdego roku z wyjątkiem roku 2011, kiedy to Wielkanoc przeżywałem w... Afryce, w Burundi, w moim Musongati! Byłem tam dwa tygodnie z grupą przyjaciół z Poznania zainteresowanych także zawodowo kulturą afrykańską, zwiedzając prawie całe Burundi i Ruandę.

B.W.: Jak funkcjonuje afrykański misjonarz emeryt?

O.J.K: Afrykański misjonarz emeryt karmelita funkcjonuje dokładnie tak, jak karmelitański biskup emeryt! Jest zwyczajnym zakonnikiem w klasztorze, do którego skierowali go przełożeni...



1971 w Mabandzie.



22 czerwca – przeddzień wyjazdu na Misje,
w kościele poznańskim.

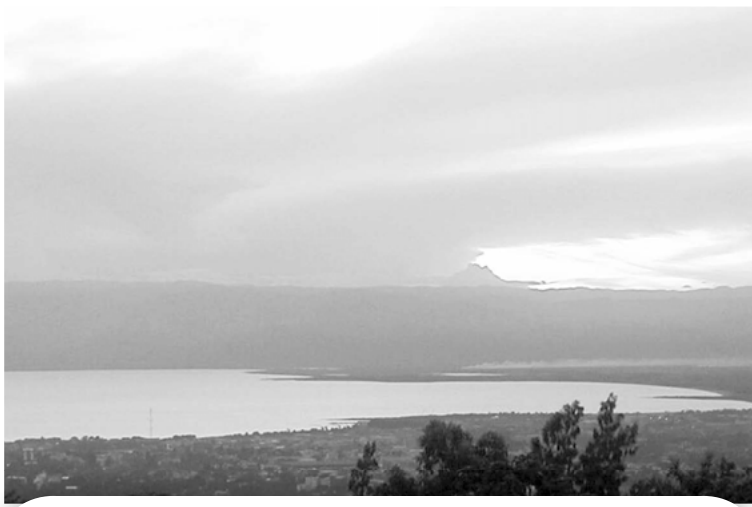
A light gray outline map of the African continent is centered on the page. The text is overlaid on the map.

Część I

BURUNDI

KONGO

1971-1981



Burundi, Jezioro Tanganika.

Abana – czyli „dzieci” w języku kirundi.



Paryż, 1 sierpnia 1971

(0)



Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kochani Rodzice i Rodzeństwo

Siostry oraz Współbracia Zakonni oraz wszyscy najmilsi, których w sercu swoim zabrałem ze sobą!

Na wstępie przesyłam bardzo, bardzo serdeczne pozdrowienia wszystkim Wam i wyrażam swoją bardzo głęboką wdzięczność za Waszą pamięć, życzliwość, przyjaźń i modlitwę.

Przed wyjazdem z kraju obiecałem, że będę względnie często pisywał do Wszystkich i względnie wyczerpująco informowałem o naszych sprawach. Mimo że z natury mam dwie lewe ręce do pisania, jak to wielu z Was dobrze wie, to jednak nie żałuję tej mojej obietnicy i naprawdę postaram się ją spełnić. Jakoś bardzo jasno widzę, że te misje i ten mój na nie wyjazd to nie tylko moja sprawa osobista, ale sprawa nasza wspólna i dlatego macie prawo o wszystkim wiedzieć. Niektórzy z Was wiedzą, że od początku na sprawę misji tak patrzyłem, nawet wówczas, kiedy nie śniło mi się jeszcze, że ja też wyjadę.

Na początku chciałbym przeprosić za wszystkie braki formalne, językowe, stylistyczne itp. tego i następnych moich listów. Nie będę miał na pewno nigdy czasu na redagowanie ładnych listów, ale też wiadomo, że nie o to chodzi.

Począwszy od dnia wyjazdu z kraju zacząłem prowadzić coś w rodzaju dzienniczka czy pamiętnika, który w dużej mierze będzie podstawą do pisania i podporą dla coraz to słabszej pamięci. Módlcie się tylko do świętych patronów od cnoty wytrwałości, bym ten mój dzienniczek nadal potrafił pisać.

Wracając pamięcią do dnia wyjazdu z kraju, chciałem najpierw bardzo szczerze przeprosić wszystkich, z którymi nie zdołałem się osobiście pożegnać na dworcu. Bardzo też przepraszam wszystkich, z którymi nie zdołałem się skontaktować przed wyjazdem i nawet powiadomić o tym, że wyjeżdżam. Od mojej de-

cyzji do dnia wyjazdu minęło zaledwie pół roku, poświęcone na przygotowania, a także w tym półroczu zajmowałem się nadal uczeniem, rekolekcjami itd. Nie umiałem znaleźć czasu, by powiadomić wszystkich, że wyjeżdżam. Chciałem napisać coś w rodzaju wspólnego listu, podobnie jak niniejszy, ale do końca łudziłem się, że zdołam napisać wszędzie bardziej osobiste listy. Naprawdę bardzo serdecznie przepraszam. Ta sprawa i inne niezłatwione przed wyjazdem bardzo leżą mi na sercu.

Na dworzec też przybyłem w ostatniej chwili. Wybrałem się nie za wcześnie, a tu w dodatku w samochodzie, w drodze na dworzec, spostrzegłem, że nie zabrałem... gitary. Z powrotem do klasztoru (niektórzy myśleli, że mam już Misji dosyć!), znowu na dworzec, gdy pociąg już wjeżdżał na peron. Tu szukanie rozparcelowanego bagażu, szukanie właściwego wagonu. Wszystko to miało z jednej strony dobry skutek, że nie można było się rozczulać nad sobą, ale z drugiej strony człowiek stracił trochę głowę. Miałem np. w ręce (dosłownie) zawiniątko z podarunkami dla moich najstarszych siostrzenic – Tamary i Beaty – takie komplety różnych kolorowych pisaków i proszę sobie wyobrazić, że zabrałem je ze sobą. Rzecz z importu (były angielskie, kupione w PKO) i poszły na eksport do Francji. Jednym słowem na dworcu nie pożegnałem się jak należało, nie podziękowałem dostatecznie za Waszą obecność przy odjeździe, nie zdołałem nawet każdego zauważyć. Chciałbym na nowo odjeżdżać, żeby móc to naprawić i każdego mocno, mocno uściskać. Dziękuję zwłaszcza tym, którzy specjalnie przybyli spoza Poznania.

Wyjechaliśmy (piszę dla tych, którzy nie byli świadkami) dnia 23 czerwca 1971 roku o godz. 17.12 z dworca głównego w Poznaniu z peronu piątego, pociągiem bezpośrednio do Paryża. Wyjechało nas – jak wiadomo – dziewięciu ojców i dwóch braci. Zajęliśmy miejsca w dwóch przedziałach – jeden cały i trzy miejsca w sąsiednim. Wszystkie kwiaty umieściliśmy w słoiku przy oknie.

Niedaleko za Poznaniem odbyła się odprawa celna. Urzędnicy bardzo grzeczni, pytali, czy mamy coś do oclenia. Rzucili okiem na walizki. Podnieśli ruchomą ławę w przedziale. Przeprosili, podpisali i poszli. Mielibyśmy się z pyszna, gdyby kaza-



li nam wyciągać wszystkie rzeczy, tak dokumentnie poubijane w naszych walizkach.

Nie bardzo mieściło nam się w głowach, że oto jedziemy w drogę na Misje. Ojciec Sylwan odtworzył z taśmy magnetofonu fragmenty pożegnania zgotowanego nam przez dzieci poznańskie na dwa dni przed wyjazdem.

Minęliśmy granice polsko-niemiecką i o godz. 22.10 byliśmy w Berlinie Wschodnim. Potem kilkakrotne sprawdzanie paszportów i Berlin Zachodni. Noc przedrzemaliśmy zwykłym kolejowym sposobem. O 8 rano w Kolonii podziwialiśmy wielką, przepiękną, sławną na cały świat Katedrę. Przed południem podziwialiśmy piękne widoki w Belgii, a w samo południe przekroczyliśmy granicę francuską. W Paryżu byliśmy o godz. 14.50.

O. Jan Kanty kb



W drodze do Burundi.